

fot. Piotr Błanowski / pstrakowski.com



*Tymoteusz Duchowski „Motek”, żołnierz „Parasola”, na spotkaniu z żołnierzami ZBC*

## Od „Parasola” do „Parasola”

*Jarosław Rybak*

**Jak budować więzi między żołnierskimi pokoleniami? Jak mówić o historii, żeby chętnie o niej słuchano? Jako dziennikarz, autor książek o polskich jednostkach specjalnych, a obecnie specjalista od kreowania pozytywnego wizerunku – postaram się to pokazać na jednym przykładzie.**

Jeden z komandosów z jednostki w Lublińcu przeżył ciekawe doświadczenie w czasie kursu sił specjalnych w Stanach Zjednoczonych. Żołnierze z kilkunastu krajów świata mieli zaprezentować dziedziczne tradycje. Amerykanie opowiadali o II wojnie światowej i Wietnamie. Komandosi z różnych krajów mówili o swej historii. Ale prawdziwy szacunek zdobył Polak, kiedy omówił operację specjalną „Kutschera”. Żołnierze najbardziej elitarnych jednostek specjalnych wiedzą bowiem – zdecydowanie lepiej, niż cywile – jak trudne były zadania ludzi z „Parasola”.

W 1995 r. Minister Obrony Narodowej zdecydował, że tradycje batalionów „Parasol” i „Zośka” dziedziczyć będzie Jednostka Wojskowa Komandosów z Lublińca, która wtedy funkcjonowała jako 1. Pułk Specjalny Komandosów. W 2004 r. dowódca jednostki postanowił, że dziedzictwo „Parasola” przejmie jeden z trzech pododdziałów bojowych – Zespół Bojowy C. Tradycje „Zośki” nosi Zespół Dowodzenia JWK. Współcześni „Parasolarze” walczyli na misjach w Iraku i Afganistanie. Właśnie teraz żołnierze z ZBC służą na misji pod Hindukuszem.

*Nie wzięliśmy się znikąd. Kontynuujemy działania tych, którzy dla Polski gotowi byli zaryzykować bardzo dużo. Mamy to szczęście, że naszymi patronami są żołnierze z jednostki specjalnej Armii Krajowej, słynnego batalionu „Parasol”. Naprawdę wiele nas łączy. Nawet nie mówię o bezpośrednich kontaktach z weteranami. Te zawsze są wzruszające i dla nas, i dla nich. Staramy się wspierać ich działania i kultywować pamięć. Myślę także o podobieństwie zadań – wyjaśnia pplk „Wróbel”, w kraju dowódca Zespołu Bojowego C, na misji – dowódca Task Force-50, czyli pododdziału Wojsk Specjalnych wystawianego przez Wojska Specjalne w Afganistanie. Jego żołnierze przeprowadzali na misjach skrajnie niebezpieczne operacje. Więc potrafią ocenić wojenne działania swoich patronów zdecydowanie lepiej, niż cywile.*

### **Siła z tradycji**

*Na proporcu zespołu wisi krzyż *Virtuti Militari*, który otrzymał „Parasol”. Przekazali nam go kombatancki. Zawsze z podziwem patrzę na to najwyższe wojenne odznaczenie. Nie wyobrażam sobie, do jakiego piekła musielibyśmy trafić, żeby zespół miał takie straty, jak „Parasol”? Dziewięćdziesiąt procent! To znaczy, że na dziesięciu żołnierzy dziesięciu zostało zabitych lub rannych. Dla mnie jako oficera to dowód niezwykłego męstwa – kontynuuje „Wróbel”.*

Kilka dni przed wylotem na trwającą właśnie, trzynastą zmianę kontyngentu w Afganistanie, „Parasolarze” pojechali na obchody sześćdziesiątej dziewiątej rocznicy akcji na Kutschere.

W czasie obchodów rocznicowych patrzyłem na tę robotę oczami oficera sił specjalnych. „Akcja Kutschera” to było niesamowite przedsięwzięcie! Trudno mi sobie wyobrazić przeprowadzenie tej roboty takimi siłami, w takim miejscu i czasie. A oni to zrobili! Jak wielka musiała być determinacja żołnierzy



foto: Jerolimow Bykusk, J.LUBLINIEC.PL, Cacho i skurczanie

*„Parasola”, do jakiego heroizmu byli zdolni, walcząc o utraconą niepodległość? – zastanawia się „Suchy”, dowódca grupy specjalnej, która w styczniu 2012 r. w prowincji Paktika uwolniła zakładników przetrzymywanych przez terrorystów-samobójców. Była to pierwsza taka operacja w historii Wojska Polskiego.*

Komandosi wspominają operację na afgańskim „Kopcu Kreta”. Było to wzgórze niedaleko bazy „Warrior”. Wokół niego ciągnęły się wioski, które były matczynikiem talibów z prowincji Ghazni. Zaledwie po kilku tygodniach pobytu na siódmej zmianie w Afganistanie, ludzie „Suchego” mieli przeprowadzić skomplikowaną operację.

Bazę „Warrior” ostrzeliwano niemal codziennie, najczęściej z południa, ze wzgórza, które nazywano właśnie „Kopcem Kreta”. Wzniesienie otaczała talibska wioska. Gdy zbliżały się do niej patrole, z zabudowań strzelano – wspomina „Wróbel”. Priorytetem było uciszenie tego wzgórza. Operację zaplanowano na noc z 27 na 28 maja 2010 r. Do operacji wytypowano dziesięciu żołnierzy z ekipy „Suchego”.



fot. Jeremiasz Rybak, „LUBLINIEC.PL. Cicho i skutecznie”



fot. Jeremiasz Rybak, „LUBLINIEC.PL. Cicho i skutecznie”

## W mateczniku talibów

Pod osłoną nocy specjaliści przeniknęli do środka wioski, ukryli się w plantacji winorośli, dwieście metrów od miejsca, skąd prowadzono ostrzały. Zamaskowani, mieli czekać na talibów. Czas mijał, a rebelianci się nie pojawiali. Przed południem nasi zauważyli Pasztuna z motyką. Przyszedł na plantację i spokojnie zaczął się zajmować pielęgnowaniem winorośli.

*Pracował jakieś dwa metry ode mnie. Zachowywał się bardzo naturalnie. Wiedzieliśmy, że przed największym upałem wróci do domu, bo miejscowi zazwyczaj przeczekiwali go w chatach. Jeśli zauważył nas, wróci do domu, zaalarmuje kogo trzeba i cali stąd nie wyjdziemy... – relacjonuje „Suchy”. Zatrzymanie Pasztuna też było ryzykowne. Jeśli z nastaniem największego upału nie pojawiłby się w domu, rodzina zacznie go szukać. „Suchy” zdecydował, że mniejszym złem będzie zatrzymanie chłopca.*

*Trzymamy go. Tłumacz po cichu i spokojnie przekonywał, że źle się dla niego skończy, jeśli choć piśnie... Chłop był przerażony, jakby jakieś diabły zobaczył. Zresztą faktycznie wyglądaliśmy, jakbyśmy spod ziemi*

*wyszli. Z jednej strony tłumacz mu groził, z drugiej mówił, że w „Warriorze” pojawiła się nowa jednostka. Taka, co robi tu porządek, jeśli ostrzały się nie skończą – opowiada „Kiemol”, jeden z uczestników akcji. Tłumacz dał chłopu zabrane na operację zapasy jedzenia. Wytłumaczył, że to rekompensata za nieprzyjemności.*

*Powinien już wrócić do domu. Ale stwierdziliśmy, że damy sobie jeszcze godzinę. Może jednak talibowie przyjadą? Ubezpieczenie zostało powiadomione, transportery Rosomak, które miały nas ewakuować, zbliżały się do wioski – wspomina „Suchy”.*

Na sygnał specjalsów transportery ruszyły na pełnych obrotach, w tym samym momencie zamaskowani żołnierze wybiegli z rodzynkarni. Liczyła się każda sekunda, bo zarówno oni, jak i załogi transporterów pamiętali, że prawie każdy patrol zbliżający się do wioski był ostrzeliwany. Tym razem jednak skończyło się bez wymiany ognia. Ekipa szczęśliwie wróciła do bazy.

*Nie byliśmy zadowoleni z tej operacji. Duży wysiłek, duże niebezpieczeństwo, a cel nie został osiągnięty! Ale szybko okazało się, że efekt psychologiczny był potężny. Weszliśmy w matecznik talibów, a chłop musiał być*



foto: Piotr Bławiński / pstrbławiński.com

*bardzo przekonujący, bo błyskawicznie ustąpił ataki z „Kopca Kreta”. Południe zamilkło. Talibowie najprawdopodobniej obawiali się powtórki akcji – mówi „Wróbel”.*

Żołnierz „Parasola”, w latach pięćdziesiątych częsty gość w Lublińcu, kpr. pchor. Tadeusz Wronowski „Przygoda”, doskonale rozumie te dylematy:

*5 października 1943 r., w domu przy alei Szucha, dowodziłem akcją zlikwidowania dwojga agentów gestapo. W mieszkaniu ich nie zastaliśmy, a kierowca ubezpieczenia zastrzelił przypadkowego gestapowca. Trafiliśmy pod huraganowy ogień. Akcja miała przebieg tragiczny! Bardzo to przeżywałem. Ale okazało się, że przypadkowo zastrzelonym gestapowcem był SS-Obersturmführer Josef Lechner, szef gestapowskiej sekcji przeznaczonej do walki z sabotażem i dywersją na terenie dystryktu warszawskiego. Niemcy byli przekonani, że to on był naszym celem. Po tej akcji postawili szlabany przy wjeździe do alei Szucha – wspomina „Przygoda”.*

*Na „Kopcu” naszych było dziesięciu. Tych, którzy polowali na Kutscherę – dziewięciu. Działaliśmy na terenie opanowanym przez przeciwnika. My w centrum talibskiej wioski, oni – w dzielnicy niemieckiej. I tu podobieństwa się kończą. Każdy z naszych miał karabinek, po około dziesięć zapasowych magazynków, pistolet z kilkoma „zapasami”, granaty... A oni? W najlepszym wypadku pistolet, pistolet maszynowy i kilka granatów. Dla „Alego”, zastępcy dowódcy akcji, który na końcu zgłosił się na punkt kontaktowy, zabrakło broni. Dowodzący działaniami „Lot” dał więc „Alemu” teczkę pełną granatów. W czasie akcji zamek teczki się zaciął i nie można ich było użyć – opowiada „Lechu”, jeden z oficerów TF-50.*

W 1944 r. „Parasolarze” nie mogli liczyć na żadne wsparcie żołnierzy pozostających w odwodzie. Sami weszli do dzielnicy niemieckiej, sami musieli z niej wyjść, a potem ukrywać się w okupowanej stolicy. W Afganistanie, niedaleko „Kopca Kreta” oczekiwały transportery opancerzone.

fot. Jarosław Syłak „LUBLINIEC.PL. Cicho i skutecznie”



W efekcie akcji 1 lutego 1944 r. śmierć poniosło czterech naszych. Dwóch z nich zginęło skacząc do Wisły na zablokowanym przez Niemców moście Kierbedzia.

Zamiast, zgodnie z procedurą, porzucić samochód użyty w akcji, chcieli go ukryć w konspiracyjnym garażu. Mieli wybór: stracić samochód, co poważnie utrudniłoby prowadzenie kolejnych operacji, albo podjąć ryzyko. Podjęli je i zapłacili najwyższą cenę – kontynuuje oficer z Lublińca.

### Nasi patroni ryzykowali bardziej

Zaprawieni w bojach specjaliści podkreślają, że ich patroni ryzykowali zdecydowanie bardziej od nich. Działania na terenie przeciwnika, w małej grupie, przy dużym ryzyku własnym – takie jest największe podobieństwo specjalsów z różnych epok.

Nasza dewiza to operować „cicho i skutecznie”. Oni nie mogli być cisi. Mieli udowodnić, że państwo podziemne funkcjonuje. Mieli być

pokrzepieniem dla terroryzowanej ludności. Kierownictwo Walki Podziemnej było gotowe ryzykować ich życiem, aby poświęcając los grupki żołnierzy, dawać otuchę społeczeństwu. Straszna kalkulacja, ale takie rachuby muszą podejmować dowódcy na wojnie – przekonuje „Wróbel”.

Po uciszeniu południa specjaliści „Warriora” szykowali się do akcji na północy rejonu odpowiedzialności. Kilkunastu ludzi spędziło trzy doby na posterunku na szczycie, 2660 metrów nad poziomem morza. To kilka metrów wyżej, niż ma najwyższy szczyt Tatr – Gerlach.

Musieliśmy operować w terenie przypominającym szczyty naszych Tatr Wysokich, ale w zdecydowanie wyższych temperaturach. W południe upał dochodził do 70° C. Ostre promienie słońca, przeciskające się przez szczeliny siatek maskujących, parzyły nieosłonięte części ciała. A należało oszczędzać wodę, bo miała starczyć na trzy doby. A w razie problemów – na dłużej – wspomina oficer.



foto: Piotr Blaszczak / piosenka.com

Po zapadnięciu zmroku dwa śmigłowce przerzuciły kilkunastu komandosów do podnóża góry. Całą noc poświęcili, by wejść na szczyt i tam zorganizować posterunki obserwacyjne oraz bazę przejściową. Nasi, ukryci na szczycie, prowadzili rozpoznanie okolicy. Śledzili ruch rebeliantów. Gdy ci ustawiali wyrzutnie na stanowiskach, operatorzy szybko podawali koordynaty dla artylerzystów w bazie. Talibowie operujący na otwartym terenie nie mieli szans... Wystarczyły trzy doby takiego celnego ostrzału i ustały ataki z północy. Podobnie, jak przed miesiącem – z południa.

W czasie „piekielnej trzydniówki” specjaliści mieli świadomość niebezpieczeństwa. W przypadku wykrycia, musieliby się bronić sami. Wsparcie mogłoby dotrzeć co najmniej po kilkunastu godzinach. Talibowie nie weszliby na szczyt, ale nasi mieliby olbrzymie problemy, żeby się z tego miejsca ewakuować.

Po zuchwałym zamachu na Kutschęgę uciśzono „Kata Warszawy”. Skończyły się masowe

egzekucje w okupowanej stolicy. Po naszych zaskakujących operacjach w pierwszych miesiącach funkcjonowania TF-50, uciśzono rakiety talibów. W ciągu kilku niespokojnych zmian kontyngentu, w efekcie takich ataków ginęli i odnosili rany polscy żołnierze w bazie „Warrior” – podsumowuje oficer.

Jeszcze trudniejszą misję zaliczył „Suchy” ze swoimi ludźmi w Iraku. W czasie czwartej zmiany kontyngentu na odkrytym terenie urządzili, niewidoczny z zewnątrz, posterunek obserwacyjny. Przez cztery doby czekali w nim na przemytników, którzy działali w tamtym rejonie. Warunki były makabryczne. Upały dochodziły do 60°C, woda w butelkach była tak gorąca, że nie dało się jej pić.

– Po wykryciu nie mogliśmy liczyć na wsparcie z powietrza, bo śmigłowców wtedy nie było. Posiłki mogły dojechać dopiero po kilku godzinach. Nas było szczęściu... Raz nawet myśleliśmy, że nas namierzono, bo z odległych o kilkaset metrów budynków zaczęto strzelać w naszym kierunku – wspomina specjals.

fot. Piotr Blawiecki / pstrblawiecki.com



## Żołnierz zawsze rozumie żołnierza

Studiowanie wspomnień kombatantów, spotkania, rozmowy coraz bardziej zbliżają żołnierzy z różnych pokoleń.

*Po akcji na Kutschere „Ali” się załamał. Miał wyrzuty sumienia, że z powodu uszkodzonego zamka w teczce nie mógł użyć granatów i zginęli jego koledzy. Doskonale go rozumiem. Jak ja bym się czuł, gdybym nie potrafił usunąć zacięcia broni i z tego powodu zginął kolega?* – zastanawia się jeden z żołnierzy. Opisy starych historii przekładają na własne doświadczenia.

W 69 rocznicę „Akcji Kutschera”, na wojсковym cmentarzu Powązki w Warszawie, złożyli wieniec od Jednostki Wojskowej Komandosów na kamieniu poświęconym batalionowi „Parasol”.

Niedaleko tego kamienia jest grób Cichociemnego Stanisława Kotorowicza „Crown”. W maju 1943 r., razem z Adamem Borysem „Pługiem” uczestniczyli w akcji w Celestynowie. Byli tylko obserwatorami,

sprawdzali poziom wyszkolenia podopiecznych. „Crown” dostał. Wykrwawił się na śmierć. Tak to już jest. Możesz być najlepiej wyszkolonym i dostaniesz przez przypadek – opowiada „Suchy”, który w Iraku i Afganistanie, jako instruktor jeździł na operacje prowadzone przez szkolonych i patrzył jak radzą sobie w terenie.

*Akcje bezpośrednie to finał działań. Trzeba pamiętać o rozpoznaniu. Niemcy się kamuflowali. Może nie tak dokładnie, jak nasi talibowie, ale zachowywali zasady bezpieczeństwa. Najczęściej przebywali w dzielnicach całkowicie kontrolowanych przez własne siły bezpieczeństwa. Nasycono je posterunkami żandarmerii, szpiclami. Więc wejście tam może być nawet porównywalne do wpakowania się na własne życzenie w rejon zasadzki. W takim terenie ludzie z konspiracyjnego wywiadu musieli zlokalizować poszukiwanego, ustalić jego wygląd, sposób życia, który u nas nazywa się „pattern of life”. Czyli przygotować komplet danych dla sekcji uderzeniowych – przypomina „Dudzik”.*

Ten specjalista od wywiadu przytacza fragment „Kamieni na szaniec”: *Służba w dywersji, jeśli ma być dobrą służbą, wymaga drobiazgowego i dokładnego wyszkolenia, starannego przygotowania pomocy technicznych, a nade wszystko cierpliwego i dokładnego rozpoznania. Sam akt dywersyjny trwa chwilę, jego przygotowanie – całe tygodnie, a nawet miesiące. Bez tych długich tygodni cierpliwiej, nużącej, uporczywej pracy nie ma powodzenia – jest tylko narażanie życia.*

*My dysponujemy zaawansowaną techniką. W „Parasolu” wszystko należało rozpoznać bezpośrednio, takie wtedy były metody – kontynuuje „Dudzik”.*

*Nasi weterani – podobnie jak my w Iraku – kombinowali, żeby zwiększyć bezpieczeństwo. My w czasie pierwszych zmian, na własną rękę opracowaliśmy system dopancerzenia pojazdów honker. Oni przed akcją przeciwko SS-Obergruppenführerowi Wilhelmowi Koppemu, dowódcy SS i Policji w Generalnym Gubernatorstwie, drzwi szoferki oraz całą skrzynię ładunkową wzmocnili kilkumilimetrową blachą pancerną. W ten sposób konspiratorzy zabezpieczyli się przed niemieckim ostrzałem – komentuje specjals.*

*W Warszawie poznaliśmy Wojciecha Świątkowskiego „Korczaka”. Uczestniczył w tej nieudanej, tragicznie zakończonej akcji na Koppego – opowiada „Wróbel”. Tę operację „Parasolarze” przeprowadzili na obcym terenie, w Krakowie, który był stolicą Generalnego Gubernatorstwa. Operacja skończyła się porażką i śmiercią pięciu żołnierzy „Parasola” w potyczce, do jakiej doszło w czasie ewakuacji.*

*Teraz jest taka maniera, żeby chwalić się sukcesami, a niepowodzenia ukrywać i szybko o nich zapominać. Tymczasem nasi patroni uczą, że trzeba też mówić i pamiętać o porażkach. One są wpisane w żołnierski los – podkreśla „Wróbel”.*

Znowu przypomina „Kamienie na szaniec”: *Ale na wojnie – jak na wojnie! Żadne wojsko nie idzie od zwycięstwa do zwycięstwa. Umiejętność znoszenia niepowodzeń jest wielką i ważną umiejętnością. Oczywiście, jeśli towarzyszy jej zdolność i chęć wyciągania nauki z porażek.*

## Historia musi żyć!

Międzypokoleniowe porównania można ciągnąć jeszcze długo. Czas jednak odpowiedzieć na pytania zadane na początku. Jak budować więzi między żołnierskimi pokoleniami? Skoro tak wiele łączy współczesnych żołnierzy i ich patronów sprzed kilku dekad, to jak o tym mówić, żeby Polacy – szczególnie młodzi – chcieli słuchać?

Nie ma na to jednej, prostej recepty. Odwrotnie: przyciąganie zainteresowania, szczególnie młodych ludzi, podobne jest trochę do planowania operacji w Afganistanie. Nie można powtarzać tych samych scenariuszy, bo to prosta droga do porażki. Jeśli coś raz się sprawdziło, drugi raz już nie zrobi tak dużego wrażenia. A za trzecim razem obserwatorzy przejdą obojętnie obok.

Najlepszym przykładem jest – wspomniany wyżej – udział żołnierzy z Lublińca w sześćdziesiątej dziewiątej rocznicy akcji na Kutscherę. Ekipie komandosów przez dwa dni towarzyszył Piotr Bławicki, jeden z najbardziej znanych polskich fotoreporterów (jego prace można zobaczyć na stronie internetowej [www.piotrblawicki.com](http://www.piotrblawicki.com)). Zdjęcia z uroczystości: składanie wieńca na Powązkach, pod kamieniem upamiętniającym uczestników operacji, Msza św. w Katedrze Polowej WP, same w sobie nie były niczym szczególnie atrakcyjnym dla fotoreportera. Podobnych rocznic jest w Warszawie wiele. Piotr Bławicki skupił się więc na pokazaniu czegoś innego, niż zwykle: więzi międzypokoleniowych. Chciał oddać to, o czym żołnierze z Lublińca opowiadają



fot. Piotr Bławicki / piotrblawicki.com



Daniela Ogińska, żołnierz zgrup. „Garloch” AK, z żołnierzami ZBC

w powyższym tekście. Cykl fotografii został opublikowany w portalu społecznościowym Facebook. Odzew internautów, w większości ludzi młodych, przekroczył wszelkie oczekiwania. W serwisie ukazało się kilkanaście zdjęć. Największe zainteresowanie wzbudziło to z kombatantem, trzymającym w rękach współczesny pistolet, który właśnie podał mu komandos z Lublińca.

*Pokazanie pokolenia bohaterów II wojny światowej i współczesnych żołnierzy, kontynuujących ich tradycje, było trudne. To dwie różne rzeczywistości, dwie inne sytuacje polityczne, kompletnie różne uzbrojenie. Ale oba te światy łączą ludzie, ich bohaterstwo i poświęcenie. Chciałem zrobić zdjęcie autentyczne, bez aranżacji. Taką prawdziwą, dobrą robotę fotoreportera. Udało się dopiero pod koniec drugiego dnia pracy, podczas spotkania weteranów z młodzieżą – mówi Piotr Bławicki.* Fotografia ukazała się m.in. na facebookowych fanpage'ach Jednostki Wojskowej Komandosów, LUBLINIEC.PL Cicho i skutecznie, Wojsk Specjalnych, Polski Zbrojnej. Błyskawicznie została zauważona przez zagraniczne portale miłośników militariów, m.in. Tactical News Magazine oraz Army World.

*Opublikowano pod nią masę komentarzy polskich i zagranicznych. Internauci szybko opisali dokładnie, kim jest kombatant ze zdjęcia, jaką widać broń i wyposażenie. Na kolejnych stro-*

*nach internetowych ponownie udostępniono je kilkaset razy. Po 24 godzinach od opublikowania ponad 1700 internautów nacisnęło przycisk „lubię to”, pozytywnie oceniając fotografię. Po kilku miesiącach zdjęcie znów pojawiło się na polskich i zagranicznych stronach. Znowu wzbudzając masę komentarzy i ponownie dostając ponad 1000 „lajków”. W sumie zdjęcie zebrało prawie cztery tysiące pozytywnych*

*głosów. Od kilkunastu lat zajmuję się zawodowo fotografowaniem tematów związanych z polityką, a także show biznesem. W czasach, gdy codziennie oglądamy setki zdjęć, tak duże zainteresowanie internautów jednym obrazem to rzadkość – kontynuuje Piotr Bławicki.*

*Czy w czasie przyszłorocznych uroczystości z okazji siedemdziesięciolecia „Operacji Kutschera” podobna sesja fotograficzna wzbudzi również wielkie zainteresowanie? Raczej nie, ponieważ to już nie będzie pierwszy taki pomysł! Chcąc przyciągnąć uwagę, żołnierze z Lublińca będą musieli zaplanować coś nowego, oryginalnego i zaskakującego. Możliwości jest sporo. Trzeba tylko pamiętać, że historia musi żyć i być przekazywana w sposób atrakcyjny dla współczesnego odbiorcy.*

*Autor prowadzi firmę doradztwa wizerunkowego Creatio PR. Przez kilkanaście lat był dziennikarzem wojskowym, następnie rzecznikiem prasowym MON i dyrektorem Departamentu Komunikacji Społecznej w BBN. Jest autorem książek o polskich jednostkach specjalnych.*

*Artykuł powstał na podstawie przygotowywanej do druku książki o działaniach polskich żołnierzy w Afganistanie. Publikacja ukaże się w księgarniach jesienią br.*

*Więcej: [www.jaroslawrybak.pl](http://www.jaroslawrybak.pl)*

*W razie pytań autor prosi o kontakt poprzez pocztę elektroniczną: [biuro@creatioPR.pl](mailto:biuro@creatioPR.pl)*